

TERESA KACZOROWSKA

Dwunastu na Trzynastego

Emigranci stanu wojennego

Tadeusz Witkowski



Niepokorny „Docent”

Ann Arbor (Michigan, USA) – Przasnysz (Mazowsze)

2005-2009

Dom Lili i Tadeusza Witkowskich, w akademickim mieście Ann Arbor pod Detroit, w stanie Michigan. Siedzimy w salonie połączonym z kuchnią. W trójkę, bo ich dzieci już dawno wyfrunęły z gniazda. Cała ściana książek. Kilka ciekawych dzieł sztuki współczesnej, trochę kwiatów, także ciętych – wczoraj Lila miała urodziny. Szczególnie piękne są duże bukiety herbacianych róż. W Ameryce jakoś dłużej zachowują świeżość.

Jest sobota, 19 listopada 2005.

Gospodarz pokazuje cztery swoje teczki (nadano mu kryptonim „Docent”)¹. Przywiózł je latem 2005 z Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie. Jedna pochodzi z Ostrołęki. Minister spraw wewnętrznych, za pośrednictwem Biura Śledczego, podaje:

„Tadeusz Witkowski, syn Tadeusza i Teresy z d. Nowicka, [powinno być: Nitowskiej] ur. 4 lutego 1946 r. w Rutce [powinno być: w Rutkach]. Pochodzenie społeczne: robotnicze. Bezpartyjny. Wykształcenie wyższe. Żonaty. Doktorant Instytutu Badań Literackich, aktualnie nie pracuje. Zamieszkały: ul. Nowotki 28 w Przasnyszu.

Wymieniony działalność w Związku NSZZ „Solidarność” rozpoczął w marcu 1981 r., wszedł w skład prezydium Oddziału NSZZ „Solidarność” w Przasnyszu. Do Związku zapisał się będąc pracownikiem Ostrołęckiego Ośrodka Kultury. Jest współre-

¹ Dwie najważniejsze udostępniono mi w formie zdigitalizowanej, w warszawskim IPN pod sygnaturami: IPN BU 01356/47, IPN Gd 162/260/CD.

daktorem wydawanego przez Oddział pisma „Przasnyska Solidarność”. W piśmie tym dobiera tendencyjne artykuły z prasy związkowej, bezkrytycznie popiera wszelkie inicjatywy KK i Regionu, podejmuje z innymi decyzje o strajkach i akcjach protestacyjnych w zakładach pracy, m.in. strajk protestacyjny w związku z wydarzeniami w Bydgoszczy, strajk 28 października br., akcje plakatowe przeciwko środkom masowego przekazu. Usiłuje skierować Oddział na działalność polityczną i ideologiczną. Sam pisemnie stwierdza, że od chwili powstania Oddziału przewodniczący wyhamowuje wszelkie inicjatywy zmierzające do ideologicznego zaktywizowania członków Związku, sabotuje decyzje władz Regionu i KK. Jest zdecydowanym przeciwnikiem PZPR i SB. W przeszłości był podejrzany o malowanie napisów o wrogiej treści na budynkach Uniwersytetu Warszawskiego. Podpisał również list 22 skierowany do Sejmu PRL w 1976 r. List ten wyrażał sprzeciw wobec projektu zmian w Konstytucji PRL, wprowadzającego określenie sojuszu ze Związkiem Radzieckim. Wobec Komisji Zakładowej ZWAR, 28 listopada 1981 r., przyznaje na piśmie, że jesienią 1976 r. prowadził akcję na rzecz rzekomo uwięzionych pracowników Radomia i Ursusa oraz wyrażał protest przeciwko aresztowaniu członków i współpracowników KOR-u. Utrzymywał ścisły kontakt z Regionem Mazowsze. W dniu 17 grudnia 1981 r. usiłował zorganizować manifestację i wiec, wraz z mszą polową na rynku w Przasnyszu. Zamiaru nie urzeczywistnił w związku z internowaniem dnia 13 grudnia br.”.

– Jak czyta się o sobie esbeckie teczki w Ameryce?

– Racjonalnie – odpowiada Tadeusz Witkowski. – Nie znalazłem w nich niczego, co by zachwiało moją wiarę w ludzi. Nikt z kręgu moich najbliższych przyjaciół nie okazał się donosicielem. Agentów wyczuwałem na odległość. Ponadto przestudiowanie tych czterech teczek pozwoliło mi zrozumieć jak funkcjonowały służby specjalne w państwie totalitarnym. Uważam, że nie ma w nich faktów wymyślonych. Funkcjonariusze SB działali sumiennie, choć poziom ich wiedzy i inteligencji był różny.

Kiedy rozmawiamy w Ann Arbor, ma pięćdziesiąt dziewięć lat oraz amerykański tytuł doktora filozofii w dziedzinie języków

i literatur słowiańskich (odpowiednik polskiego doktora nauk humanistycznych). Para się głównie przekładami oraz redagowaniem literackiego periodyku „Periphery”. Przygotowuje też do druku zbiór swoich szkiców, dotyczących głównie Polonii w USA.

Wtedy, w Ann Arbor, jeszcze nie wiedział, że „zagłębienie się” we własne teczki sprawi, iż zacznie pisać i rozsyłać swój „Okólnik” i badać dalej archiwa Instytutu Pamięci Narodowej. Że trafi na kolejne ciekawe dokumenty, zacznie publikować odkrywcze artykuły na ten temat i zasłynie nie tylko jako „emigracyjny lustrator”, lecz także jako „terminator”, kojarzony z nazwiskami dwóch ważnych postaci życia publicznego w Polsce: ks. prof. Michała Czajkowskiego oraz Zygmunta Solorza. Nie przypuszczał też wtedy, że stanie się członkiem Komisji Weryfikacyjnej d/s WSI, mianowanym przez Jarosława Kaczyńskiego.

Pierwszy raz został zatrzymany, choć tylko na czterdzieści osiem godzin, w 1968 roku. Jak napisał po wielu latach Komendant Wojewódzki MO w Ostrołęce w decyzji o internowaniu Tadeusza Witkowskiego – brał „udział w wystąpieniach antypaństwowych”. Ale tak naprawdę były to tylko protesty studenckie.

– Najpierw po zdjęciu „Dziadów” ze sceny Teatru Narodowego. Byłem wtedy na drugim roku polonistyki. Kiedy 8 marca 1968 zorganizowano na uniwersytecie wiec protestacyjny, w związku z usunięciem z uczelni dwóch studentów, zaczęły się bicia. Podczas jednego z wieców na Krakowskim Przedmieściu, podjęto decyzję o strajku ostrzegawczym. Zamierzałem wraz z kolegą, Januszem Pawłowskim, poinformować Wydział Chemii na Ochocie o decyzji komitetu strajkowego przez umieszczenie w bezpośrednim sąsiedztwie jego budynków stosownych informacji. I złapali nas z farbą. Śledztwo ciągnęło się kilkanaście miesięcy. Nie znaleziono jednak podstaw, aby nas wyrzucić z uczelni i wcielić do wojska. Wykręciliśmy się jakoś, nikogo nie obciążając – wspomina.

Jak wynika z dokumentów w IPN, od kwietnia 1968 do listopada 1974 roku, Witkowski „pozostawał w zainteresowaniu Wydziału III Komendy Stołecznej Milicji Obywatelskiej w Warszawie”. Nie tylko z powodu podejrzenia „o malowanie napisów

o wrogiej treści politycznej na budynkach uniwersyteckich”, ale także ze względu na „jego przynależność do grupy poetyckiej „Stajnia”, której członkowie pisali utwory o szkodliwej treści politycznej”.

– Nie byłem członkiem „Stajni”. Donosiciele mieli złe informacje – śmieje się „ofiara donosu” nazwana przez PRL-owskich funkcjonariuszy „Docentem”, a w rodzinnym mieście „molem książkowym”.

Polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim skończył w 1971. Marzył o karierze naukowca. Był już autorem wielu interesujących publikacji krytyczno-literackich drukowanych w „Literaturze”, „Tygodniku Powszechnym”, „Tygodniku Kulturalnym”. Wiedział jednak, że ze względu na „przeszłość” nie ma szans na akademicką pracę dydaktyczną, ani doktorat na uniwersytecie. Rozpoczął więc zawodowe życie jako zwykły polonista w szkole średniej w rodzinnym Przasnyszu.

Półtora roku później postanowił jednak spróbować dostać się na studia doktoranckie w Instytucie Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk w Warszawie. Zdał pomyślnie egzaminy, otrzymał doktoranckie stypendium. Nie było to jedyne wyróżnienie. W 1979 roku Związek Literatów Polskich przyznał mu stypendium im. Tadeusza Borowskiego. Był wtedy członkiem Koła Młodych, działającego przy Warszawskim Oddziale ZLP. Opiekun koła, Krzysztof Karasek ocenił, że Witkowski „jest jednym z najciekawszych krytyków młodego pokolenia” (ta opinia też jest w teczce). Stypendysta pomieszkiwał trochę w Warszawie, ale częściej w Przasnyszu, gdzie się ożenił z Alicją (Lilą) Turkiewicz. Na świat przyszło troje ich dzieci.

– Poza przygotowywaniem rozprawy doktorskiej i publikowaniem tekstów, musiałem jednocześnie pracować, między innymi w Ostrołęckim Ośrodku Kultury, aby pomóc w utrzymaniu rodziny. Udzielałem się też w opozycji, zbierałem pieniądze dla KOR-u. To w tamtym czasie podpisałem petycję do Sejmu PRL, wyrażającą sprzeciw wobec zapowiadanych zmian w Konstytucji, które w stopniu jeszcze większym ograniczały suwerenność Polski, jako że mówiły o nierozdzielnej przyjaźni ze Związkiem Radzieckim – pamięta.

W tajnych dokumentach w Ostrołęce, odnotowano w tym czasie, że rozpracowywany figurant „nie ma wielu zaufanych przyjaciół”. Ale: „utrzymuje szerokie kontakty z osobami kręgów intelektualnych”.

W semestrze letnim 1980 zaczął nauczać w białostockiej filii Uniwersytetu Warszawskiego. Niedługo jednak uczelnia wycofała się z umowy o pracę. Do dziś zresztą nie otrzymał zapłaty za semestr prowadzonych zajęć. Zaczął podejrzewać interwencję bezpieki – wtedy domyślał się, dziś są na to dowody. Gdziekolwiek próbował podjąć stałą pracę, wszędzie interweniowała bezpieka. Dzięki przywiezionym z IPN teczkom wie, że rektor filii UW w Białymstoku, profesor Juliusz Łukasiewicz, wykonywał tylko jej polecenia. Wskutek interwencji SB nie mógł ani nauczać na uniwersytecie, ani nawet pracować w Ostrołęckim Ośrodku Kultury. Całe szczęście, że w spadku po rodzinie ojca otrzymał kamienicę czynszową w Przasnyszu, wraz z dużym ogrodem. Mógł z rodziną hodować kury, nutrie, króliki.

– Zagłodzić nas nie mogli – śmieje się.

W 1979 roku wyjechał w pierwszą podróż na Zachód. Z poczuciem dumy, co zauważył rozpracowujący go por. Z. Oleński z Wydz. III Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Ostrołęce, odnotowując, że posiada „wysoki poziom własnej wartości”. Pojechał najpierw na audiencję papieską do Rzymu – przez Wiedeń, Bratysławę, Wenecję, Florencję. Potem został jeszcze na dwa miesiące we Francji i dwa tygodnie w Niemczech, aby dzięki pomocy znajomych podreperować rodzinny budżet – pracą podczas winobrania i na farmie. Paszport udało mu się dostać. Mimo iż był związany z opozycją i jak podawano – „głęboko wierzący”. Zdecydowanie odrzucił propozycję współpracy z SB – próbę pozyskania go wtedy przez służby opisał w liście do zarządu Oddziału Warszawskiego ZLP, a treść listu podał „bezczenie” do wiadomości Komendy Wojewódzkiej MO w Ostrołęce. Po wizycie Jana Pawła II w 1979 roku, aparat ucisku już nieco łagodniej traktował ludzi wyjeżdżających na pielgrzymki do Rzymu. Domyślał się jednak, że wypuszczając go na Zachód bezpieka realizowała, tak czy inaczej, swoje cele operacyjne. Na granicy w Cieszynie zrewidowano go, rozbierając do naga, pod-

czas gdy autobus pełen pasażerów czekał. W poszukiwaniu materiałów obciążających zagłądano mu nawet w tyłek. Z osobistego notesu wydarto kartki z niektórymi adresami kontaktowymi i – jak wynika z teczek – wszystkie te strony z adresami sfotografowano. Podobnie było, gdy wracał koleją przez Zgorzelec. Pociąg odjechał dalej, do Warszawy, jego zaś wysadzono i – zgodnie z nadesłanymi instrukcjami – znowu dokładnie przeszukano (deponując m.in. broszurę *Le Martyre de la Pologne (Cierpienie Polski)*, która później jednak nie okazała się „sprzeczna z dobrem i interesami PRL” i została mu zwrócona). Wszystko z nakazu KWMO w Ostrołęce, a dokładnie na „prośbę” płk. Bogumiła Owczarka...

– Czułem, że tak będzie, dlatego zgromadzone na Zachodzie książki zostawiłem na uniwersytecie we Freiburgu, z prośbą o przesłanie ich na adres zatrudnienia mojego promotora, profesora Janusza Sławińskiego z Instytutu Badań Literackich. Umówiłem się z nim wcześniej. Wszystkie materiały doszły – opowiada.

Ale zapewne nie przypuszczał, że jeden z rozpracowywujących go, por. Zbigniew Oleński z Wydz. III KWMO w Ostrołęce, poda zaraz w raporcie ile dolarów wpłynęło na jego konto. I że służby udokumentowały szeroko jego pobyt na Zachodzie: gdzie bywał, z kim się spotykał, że nigdzie nie ukrywał antypatii do PZPR i Związku Radzieckiego... Kontrolujący go na granicy w Zgorzelcu, por. R. Służel, w przesłanej notatce do Zarządu Zwiadu WOP w Warszawie napisał także, że Witkowski „nie ukrywał [...] lekceważenia i ironii do naszych organów”.

W 1980 roku wyjechał do RFN i Francji ponownie, tym razem z żoną Lilą. Znowu w celach zarobkowych, aby zapewnić utrzymanie rodziny.

Na przełomie lat 1980/1981 Tadeusz Witkowski, wraz z Mariuszem Bondarczukiem, najbliższym w jego mieście kolegą, zaczęli organizować ludzi wokół „sprawy”. Utrzymywali ścisły kontakt z regionalnymi strukturami NSZZ „Solidarność”, zakładali w Przasnyszu pierwszy wolny związek zawodowy, weszli do jego prezydium. Znalazło to odzwierciedlenie w zachowanych archiwaliach:

„...Tadeusz Witkowski, gdy był w Oddziale NSZZ „Solidarność” w Przasnyszu, próbował utworzyć opozycję przeciwko rządowi PRL. Ideologicznie związany był z ekstremistycznymi kołami NSZZ „Solidarność”.

Od początku 1981 roku Witkowski z Bondarczukiem oraz innymi wydawali też lokalną gazetkę „Solidarność Przasnyska”. To także skrętnie odnotowano. Na przykład jeden z raportów podaje: „W piśmie tym dobiera tendencyjne artykuły z prasy związkowej, przedrukowuje je i opatruje własnym komentarzem. Píše również własne artykuły krytykujące organa władzy”. Według innego raportu Witkowski był w Przasnyszu „duchowym przywódcą Związku Młodzieży Demokratycznej”.

Polska zaczęła się wtedy zmieniać. Tysiące członków PZPR oddawało legitymacje partyjne, zasiane ziarno buntu rosło i powoli rozmontowywało komunistyczne państwo. Reżim tracił monopol na prawdę, bo z każdym dniem przybywało wolnej prasy (bez pytania o cenzurę). Błyskawicznie rozchodził się w setkach tysięcy egzemplarzy, wywalczony w stoczni, wydawany legalnie ogólnopolski tygodnik „Solidarność”. W drugim obiegu ukazało się w kraju wiele tytułów pism i książek, których oficjalny druk wydawał się niemożliwy ze względu na komunistyczną cenzurę. Działania opozycji pokrzyżował rozkaz generała Wojciecha Jaruzelskiego, skupiającego wówczas w swoim ręku całą władzę: nad partią, rządem i wojskiem. Reżimowe służby cieszyły się, odnotowując w dokumentach Witkowskiego: „17 grudnia 1981 r. usiłował zorganizować manifestację i wiec wraz z mszą polową na rynku w Przasnyszu. Zamiaru nie urzeczywistnił gdyż 13 grudnia został internowany”...

W jednej z czterech teczek jest nakaz z 12 grudnia 1981 roku o doprowadzeniu Tadeusza Witkowskiego i umieszczeniu w ośrodku odosobnienia w Iławie. Polecenie podpisał komendant wojewódzki KWMO w Ostrołęce W. Dąbrowski. Zanotowano też: „Zatrzymany zapoznał się z nakazem, lecz odmówił podpisu”.

– Dlaczego?

– I tak by mnie zabrali – odpowiada doktor nauk humanistycznych w swoim amerykańskim domu.

Gdy wprowadzano w Polsce stan wojenny, miał trzydzieści pięć lat. Tworzony w ciągu szesnastu miesięcy przez ponad dziewięć milionów Polaków, którzy wstąpili do „Solidarności”, jedyny przyczółek wolności i nadziei w świecie kontrolowanym przez Sowietów – runął nagle, brutalnie zdławiony...

„Sierpień Mazowsza” to tytuł nowego pisma, którego pierwszy numer Witkowski przygotowywał do druku. Miało się rozchodzić, po porozumieniu się z sąsiednimi Oddziałami NSZZ „Solidarność”, na całym Północnym Mazowszu. I właśnie wieczorem, 12 grudnia 1981, kiedy składali nowy tytuł w biurze Oddziału w Przasnyszu, z Mariuszem Bondarczukiem i ostrołęckim prawnikiem Januszem Domańskim, ujrzeni po powrocie z krótkiej kolacji w rodzinnej kamienicy, wybite szyby w gablotach NSZZ „Solidarność”. A przed samą północą, kiedy znaleźli się znowu w domu Tadeusza, ktoś zakolała ostro do drzwi.

– Wkroczyła grupa około dziesięciu mężczyzn w milicyjnych mundurach, pod dowództwem porucznika Romualda Samsona. Znałem go z oficjalnych zebrań w urzędzie miasta. Zachowywali się jak odurzeni alkoholem albo innym środkiem. Nie przypuszczaliśmy, że został ogłoszony stan wojenny. Wylegitymowali nas, oznajmiając, że mają nakaz aresztowania. Próbowaliśmy się bronić, krzychałem, więc zaczęli bić mnie pięściami. Zbudziła się rodzina, w tym moja matka i dzieci. W końcu zakneblowali mi usta, wynieśli i wrzucili do „suki”. Zdążyłem jednak obudzić całą kamienicę. Dzięki temu nie doszło do rewizji w mieszkaniu, gdzie miałem cenne wydawnictwa.

I dorzuca z westchnieniem: – Samson został potem pozytywnie zweryfikowany...

Nad ranem zawieziono ich do komendy wojewódzkiej milicji w Ostrołęce. Tam dowiedzieli się, że wprowadzono stan wojenny, a oni są internowani. Domańskiego zabrali w kapciach... Był mróz. Skuci w kajdankach, trzęsąc się z zimna, dojechali w dużym milicyjnym konwoju do Ławy.

– W tę noc, z terenu województwa ostrołęckiego zgarnięto w podobny sposób około osiemdziesięciu osób – ocenia Witkowski.

Dobrze pamięta ponure, lodowate więzienie w Iławie oraz towarzystwo szczurów i myszy. W ośmio- i dwunastoosobowych celach piętrowe prycze, odkryte cuchnące kible, brud. Później trochę ich porozdzielano, ale przez pierwsze miesiące byli traktowani gorzej niż więźniowie. Obecni wśród nich kryminaliści przyjmowali reguły gry internowanych, zachowywali się poprawnie. Okropne jedzenie zaczęła stopniowo uzupełniać żywność z paczek Episkopatu i Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Po kilku miesiącach mogli ich odwiedzać duchowni i rodzina. Matka, Teresa Chmielewska, przyjechała na widzenie pierwsza, około Nowego Roku 1982. Następnie żona Lila, z dziećmi. Później bywali raz w miesiącu.

Na protesty internowanych reagowano akcjami pacyfikacyjnymi. Zarówno w Iławie, jak i w podobnym więzieniu w Kwidzynie – drugim miejscu jego internowania. Skargi adresowane do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych oraz formalne doniesienia do prokuratury o popełnieniu przez służbę więzienną przestępstwa, nie odnosiły żadnego skutku.

W bibliotekach więziennych można było wybrać coś do poczytania. Trochę lektur przywieziono Witkowskiemu z domu, ale pracy nad doktoratem nie dało się kontynuować. Dlatego do dziś wdzięczny jest profesorowi Sławińskiemu, u którego przygotowywał rozprawę poświęconą problemom etycznym we współczesnej poezji, że 31 marca 1982 roku napisał list w jego obronie (też znalazł się w teczce). Promotor wysoko ocenił zaawansowany już doktorat, a swego doktoranta określił w liście jako „człowieka wyraźnie uzdolnionego do pracy badawczej i krytyczno-literackiej”. Przypomniawszy szereg jego wartościowych szkiców, artykułów oraz recenzji opublikowanych w renomowanych czasopismach naukowych i literackich, między innymi w „Tekstach”, „Więzi” oraz w książkach zbiorowych. Podkreślił także udział Witkowskiego w rozlicznych seminariach i konferencjach naukowych. Profesor Sławiński pisał:

„Świadczy to nader pozytywnie o przygotowaniu mgr Witkowskiego, o jego umiejętnościach zawodowych, oryginalności myślenia, biegłości pisarskiej. Spotkały się one z uznaniem śro-

dowiska naukowego i uzyskały pochlebne oceny. Tym bardziej to wymaga podkreślenia, bo sytuacja mgr Witkowskiego wcale nie ułatwia mu pracy naukowo-literackiej. Mieszkając na tzw. prowincji, z dala od bibliotek, wydawnictw, redakcji, nie mając na co dzień styczności z ludźmi zainteresowanymi takimi jak on sprawami, potrafił uparcie przezwyciężyć utrudnienia i osiągnął zasługujące na uwagę wyniki. Taka postawa nie może nie budzić szacunku”.

– SB traktowało tę opinię z respektem – pamięta Witkowski.

Jak się czuł w więzieniu rokujący duże nadzieje doktorant? Był rozżalony, zaskoczony, przygnębiony?

– Najpierw wszyscy byliśmy w szoku. Nikt nie spodziewał się wprowadzenia pod koniec XX wieku, w środku Europy, stanu wojennego! Esbecy przyjeżdżali, wywoływali nas na przesłuchania, które prowadziła służba więzienna. Nigdy mi jednak nie przyszło do głowy, aby wdawać się z nimi w jakiegokolwiek dyskusję.

W jednej z jego teczek, w raporcie z dnia 13 września 1982 roku, oficer SB napisał: „W ośrodku odosobnienia odmawia wszelkich rozmów”.

W więzieniu zdecydował się opuścić kraj...

– Pismo w sprawie wyjazdu na emigrację złożyłem po jednej z akcji pacyfikacyjnych w więzieniu w Kwidzynie. Po prostu doszedłem do wniosku, że nieprędko da się w Polsce coś zmienić, a może poza granicami będę mógł dla sprawy zrobić więcej. Ludzie byli rozstrojeni, dawali się łatwo prowokować, ponosić emocjom, ulegali manipulacjom. Niektórzy zapłacili za to ciężkimi pobiciami, skatowaniem – relacjonuje.

Witkowski nie wiedział, że ppłk Roman Sołyga niedługo potem odnotował w meldunku operacyjnym: „Na wyjazd otrzymał już pozytywną decyzję tut. Wydziału Paszportów”. I pomimo iż „Docent” był krnąbrnym więźniem i odmawiał „wszelkich rozmów”, to po dziewięciu miesiącach internowania otrzymał przepustkę – na miesiąc, od 11 września do 11 października 1982 roku. Dzięki temu mógł być 18 września 1982 roku świadkiem na ślubie swego przasnyskiego przyjaciela – Mariusza Bon-

darczuka z Ewą Myślińską. Oczywiście cały czas „był w zainteresowaniu” służb, co wiernie odzwierciedlają archiwalia.

Więzienie w Kwidzynie opuścił jako jeden z ostatnich internowanych, 25 listopada 1982.

Podczas zwalniania wydano mu dokumenty o internowaniu oraz zdeponowane pieniądze. Miał więc na bilet kolejowy do Ciechanowa. Z dworca zadzwonił do oddalonego o dwadzieścia pięć kilometrów domu w Przasnyszu. Żona przyjechała natychmiast, z ich bliskim kolegą Jurkiem Kowalskim (często odnotowywanym w aktach). Mieli wówczas leciwą, jugosłowiańską zastawę.

W grudniu 1982 roku otrzymał paszport i zgodę na opuszczenie kraju. Postanowił jednak najpierw wypełnić zobowiązania wobec Instytutu Badań Literackich i dokończyć doktorat. Oddał go promotorowi wiosną 1983. Jednak kilku miesięcy do obrony rozprawy doktorskiej nie mógł już czekać.

– Straciłby ważność mój paszport – skalkulował. – Ponadto w Przasnyszu byłem absolutnie izolowany. Ufałem tylko kilku osobom, a w oparciu o nieliczną grupę najbliższych przyjaciół nie dałoby się wiele zdziałać. Pomagałem jednak opozycji w Warszawie. Swoją zastawą przewoziłem zakazaną „bibułę”.

W Stanach Zjednoczonych znał Stanisława Barańczaka, który wyjechał w 1980 roku do pracy w Uniwersytecie Harvarda. Dlatego w ostatnim, zachowanym w IPN dokumencie – Protokole brakowania akt z 6 września 1983 roku – płk Bogumił Owczarek i ppłk Roman Sołyga z KWMO w Ostrołęce poinformowali, że Witkowski liczy na pomoc tego „poety i profesora”. I w związku z wyjazdem figuranta za granicę „istnieje konieczność zaniechania dalszego prowadzenia kwestionariusza ewidencyjnego krypt. „Docent”.

W Madison mieszkała Lillian Vallee – była studentka Czesława Miłosza, tłumaczka literatury polskiej na język angielski.

– Poznałem ją w 1977 roku, kiedy była na stypendium w Polsce. Później utrzymywałem z nią kontakt, nawet w więzieniu. Zgodziła się sponsorować nas po przyjeździe do Ameryki.

W czerwcu 1983, przez Frankfurt, przybył do niej w Madison, w stanie Wisconsin. Wraz z całą rodziną: żoną Lilą, dwiema córkami: Małgosią i Martą oraz synem Tomaszem. Dzieci były w wieku od sześciu do czternastu lat. W teczkach można znaleźć nawet tajną informację z 27 lipca 1983 roku, TW ps. „Piotr” (w IPN dowiedział się, że to Jan Kozerański), że do Warszawy odwiózł ich swoim samochodem Mariusz Bondarczuk. A z doniesienia z 16 kwietnia 1983, TW ps. „Jacek” (Zygmunt G.), że: „Witkowski rozpowiada powszechnie, iż on sam nigdy nie wyjechałby z kraju, lecz Służba Bezpieczeństwa wygania go”.

Organizacją pobytu Witkowskich w Ameryce zajęła się luterkańska organizacja charytatywna. Otrzymali prawo stałego pobytu i jednoroczny zasiłek na utrzymanie. Przez pierwszy rok uczyli się intensywnie języka angielskiego.

– Ponieważ tytułu doktora formalnie jeszcze nie miałem, Staszek Barańczak poradził mi, abym wysłał podania do kilku amerykańskich uniwersytetów o przyjęcie na studia doktorskie. Najlepszą ofertę złożył mi błyskawicznie Uniwersytet Michigan w Ann Arbor, wraz ze stypendium, pracą dydaktyczną i doskonałymi warunkami do rozwoju dzieci. Ale zainteresowały się moją propozycją także inne Uniwersytety, choćby Columbia w Nowym Jorku, czy Berkeley w Kalifornii.

Amerykański „antykomunistyczny doktorat” zajął mu sześć lat. Obronił go na wydziale slawistyki, kiedy Polska zrzucała kajdany sowieckiej niewoli, 7 listopada 1989. Cały czas uczył studentów, pisał artykuły do polonijnej prasy. Lila pracowała w restauracji, dzieci się kształciły, radząc sobie doskonale w szkołach amerykańskich.

– Żyłem jednak cały czas wydarzeniami w Polsce. Zacząłem współpracować z Kongresem Polonii Amerykańskiej i z Północnoamerykańskim Studium Spraw Polskich, współredagując jego oficjalny organ „Studium Papers”. Bezinteresownie. W ostatnich latach PRL publikowaliśmy w tym piśmie teksty najlepszych dziennikarzy z kraju. Po 1991 roku przestało ono istnieć, spełniło już swoją misję.

Przez Kongres zbierał też pieniądze dla Polski. Na przykład w czasie festiwali etnicznych, czy przez polonijny radiowęzeł.

W latach osiemdziesiątych zakonspirowanymi kanałami przesyłał, wraz z wieloma innymi rodakami, dolary dla „Solidarności Walczącej” i wydawnictw podziemnych w Polsce. Jest przekonany, że pomoc ta miała duży wpływ na przetrwanie kilku lat „Solidarności” w podziemiu. I na obalenie totalitarnego systemu.

– Pomagała wtedy cała Polonia. Ale o rozpadzie komunizmu zadecydowała przede wszystkim postawa ludzi w kraju, mądra polityka Jana Pawła II oraz sprzyjająca sytuacja międzynarodowa – zauważa.

Czy po 4 czerwca 1989 roku myślał o powrocie do Polski?

– Myślałem. Ale dzieci nasze chodziły do szkół, nie chcieliśmy z żoną, aby drugi raz przechodziły kryzys tożsamości, zmieniały otoczenie, kolegów. Już raz zapłaciły cenę za emigrację. Cała trójka ukończyła w Stanach Zjednoczonych studia i raczej do Polski już nie wróci.

Po 1990 roku Tadeusz Witkowski nauczał języka polskiego w Ameryce: w University of Michigan w Ann Arbor oraz w Saint Mary’s College w Orchard Lake. Kontrakty nie są jednak regularne. Nie ma zapotrzebowania na utytułowanych nauczycieli polskiego, chętniej widziani są niejednokrotnie doktoranci.

Wciąż działa w organizacjach polonijnych, stara się promować kulturę polską. Wielokrotnie gościł w swoim domu znanych pisarzy, uczonych i polityków. Cały czas też pisze. Jest autorem ponad stu artykułów krytycznoliterackich i publicystycznych, licznych opracowań, wywiadów i recenzji w książkach zbiorowych i w pismach literackich, w Polsce i Stanach Zjednoczonych. Po angielsku publikował między innymi w „Slavic and East European Journal”, „Polish Review” i „Periphery” – od 1995 roku, jako redaktor naczelny tego pisma. W pierwszej dekadzie bieżącego stulecia współpracował z wychodzącą w Rzeszowie „Nową Okolicą Poetów”. Ostatnio publikuje głównie w wysokonakładowych dziennikach i tygodnikach.

Kiedy dzieci usamodzielniały się, znowu zastanawiał się czy nie wrócić do kraju. Zmiany w kraju po obaleniu systemu komunistycznego ocenia jednak krytycznie. Jesienią 2005, w swoim domu w Ann Arbor, wyznał:

– III Rzeczpospolita nie spełniła moich oczekiwań. Śledziłem wszystko co się działo w Polsce i nie miałem złudzeń: kraj jest rządzony w dużym stopniu przez dawne służby specjalne. Zgadzam się z tymi, którzy żądają radykalnej lustracji i dekomunizacji. Lustracja to wymóg bezpieczeństwa narodowego, ale także problem natury moralnej, związany z potrzebą naprawienia krzywd wyrządzonych przez komunistów.

Nie napawa go optymizmem fakt, iż poplecznicy dawnego systemu prosperują lepiej w wolnym kraju niż ich ofiary. Po nowelizacji ustawy lustracyjnej, zaczął mieć nadzieję, że wreszcie pojawi się w Polsce szansa na wprowadzenie elementarnego porządku wartości. Aby pomóc zrozumieć jak działał aparat represji, zaczął rozsyłać w kręgu znajomych „Okólnik Lustracyjny”. Część komentarzy przedrukował „Głos”. Później sporo publikował na temat lustracji w „Życiu Warszawy” i „Wprost”. Otrzymał też propozycje współpracy od kilku innych pism.

Pierwszy raz odwiedził Polskę po dziesięciu latach. Teraz bywa przeważnie raz w roku. Przyjeżdża z odczytami, uczestni-



czy w konferencjach, czasami, jak podczas Międzynarodowych Dni Macieja Kazimierza Sarbiewskiego w Płońsku 2005, bierze udział w nocach poetów, wyciąga gitarę i śpiewa pieśni z czasów „Solidarności”. Przez jeden semestr wykładał na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Dwa miesiące spędził też w Rzeszowie, na badawczej wymianie naukowej.

W 2006 roku zaczął studiować archiwa IPN, realizując swój projekt „Centrum i peryferie”. Dzięki publikacjom pierwszych wyników tej pracy – w „Życiu Warszawy”, „Gazecie Polskiej” i „Wprost” – Witkowski stał się znany w całym kraju. Spotkałam się z nim więc kilka razy w Polsce, najczęściej w jego rodzinnym domu, jak na przykład 2 grudnia 2006.

– Niektórzy mówią, że jestem „terminatorem” zza oceanu, inni... że „terminatorem” z Przasnysza – śmieje się przy powitaniu.

– I to mi się nie podoba – mówi jego matka, pani Teresa Chmielewska, jak zwykle gościnna, wspaniałomyślna i zawsze w syna wierząca. – Poza tym szperanie w teczkach to praca trudna i ryzykowna – wzdycha, obawiając się o jedynaka.

– Mamo, to patriotyczna robota... – oponuje dr Tadeusz Witkowski, który jak zwykle dzieli swój czas pomiędzy Przasnysz i Warszawę, nie licząc Ameryki. Nie wyobraża sobie jednak innego scenariusza życia.

Zimą 2006 widział jeszcze możliwość powrotu do Polski. Uważał to za realne. Miał do kogo wracać, miał wielu ideowych przyjaciół. Zapewne bez problemu uzyskałby pracę wykładowcy akademickiego, choć „pensje nauczycieli akademickich są koszmarnie niskie”. Na przeszkodzie stał co prawda brak mieszkania w Warszawie, ale mógłby dojeżdżać sto kilometrów raz w tygodniu z Przasnysza. Rodzinna kamienica nie tylko czeka na niego, ale jest cenna emocjonalnie. Podobnie jak duży ogród, ze wspaniałym widokiem na mazowieckie przestrzenie i lasy. Kamienica już się zestarzała, więc w 2008 roku zaczęli ją z żoną remontować. Z myślą o powrocie...

Bo jesienią 2007 Tadeusz Witkowski otrzymał korzystniejszą, od akademickiej, ofertę Antoniego Macierewicza. Jako dawny znajomy, współwięzień w stanie wojennym, został głów-

nym specjalistą od spraw edukacji i promocji międzynarodowej, w gabinecie szefa Służby Kontrwywiadu Wojskowego (SKW). Niestety, skrócona kadencja rządów Prawa i Sprawiedliwości, przyspieszone wybory parlamentarne, przerwały tę misję. I realny powrót Witkowskich do kraju.

– Pracowałem w SKW tylko trzy miesiące, dokładnie od 1 października 2007 do 5 stycznia 2008 roku. Zostałem zwolniony w ramach czystek, które przeprowadził zatrudniony na trzy miesiące Grzegorz Reszka. Bezpodstawnie. Dlatego odwołałem się do sądu pracy, choć, jak przypuszczałem, postkomunistyczny wymiar sprawiedliwości nie da mi żadnych szans wygrania sprawy. Środowisko sędziowskie III Rzeczypospolitej nie zastało objęte lustracją. I często w ławach sędziowskich zasiadają ludzie w togach, którzy w czasach komunizmu skazywali polskich patriotów na więzienie – opowiada z zachmurzonym czołem.

Dziś jest jeszcze bardziej zatroskany o losy Polski. Uważa, że do władzy ponownie doszli politycy, którzy stawiają na ludzi peerelowskich służb i usiłują wprowadzić porządki rodem z policyjnego państwa. Patriotyczni Polacy stanowią dziś mniejszość narodową. Ale mimo złamanej przez stan wojenny kariery naukowej oraz „silnego uderzenia w rodzinę”, jako humanista ma jednak satysfakcję. Emigracja ma również dobrą stronę. Może stymulować twórczość, stwarzać warunki do przemysłów, obserwowania wielu spraw z innej perspektywy. W końcu każdy człowiek pragnie emocjonalnie wzrastać, sięgać poza horyzont, wznosić się ponad przeciętność.

– Nie ukrywam, że wciąż tęsknię za krajem, za ludźmi w Polsce. Nadal śledzę wszystkie ważne wydarzenia. Codziennie w Internecie czytam polską prasę, oglądam wiadomości. Czuję się bardziej Polakiem, niż Amerykaninem. Przez dwadzieścia sześć lat pobytu w Stanach Zjednoczonych nie ubiegałem się o obywatelstwo amerykańskie. Liczyłem na to, że nadejdzie dzień, w którym kraj będzie potrzebował mnie jako obywatela polskiego, nie przeżywającego rozterek związanych z konfliktem lojalności. O przyznanie mi obywatelstwa USA wystąpiłem

dopiero pod koniec 2009 roku. Otrzymałem je niemal od ręki. Daje mi to silniejsze poczucie stabilności i bezpieczeństwa.

Teraz z ojczyzną Tadeusz Witkowski czuje się związany, ale już w inny sposób. Uważa, że do twórczego, produktywnego życia człowiek potrzebuje nie tylko skrzydeł, ale i korzeni. A emigranci zapierają się często swojej tożsamości.

– Nie należy wstydzić się swego pochodzenia. To w nim tkwią korzenie, z niego wyrastają skrzydła. Czy bez moich polskich, małomiasteczkowych korzeni byłbym dziś tym, kim jestem? – pyta sam siebie, pod Detroit, doktor Witkowski.